Rok I. Kraków, dnia 20 Listopada 1882 r. Nr. 16.

PRZEGLĄD
LITERACKI I ARTYSTYCZNY

pismo poświęcone literaturze, sztuce i sprawom społecznym.

PRENUMERATA.
W Krakowie: *rocznie 6 złr., półrocznie 3 złr. kwartalnie 1 złr. 50 ct.*
Z przesyłką w Austryi: *rocznie 6 złr. 50 ct., półrocznie 3 złr. 25 ct., kwartalnie 1 złr. 63 ct.*
W Wielkopolsce: *z przesyłką rocznie 12 Mrk., półrocznie 6 Mrk., kwartalnie 3 Mrk.*

Główny współpracownik K. Bartoszewicz.
Wydawca i redaktor odpowiedzialny Jan Blaschke.
Adres Redakcji i administracji:
K. Bartoszewicz w Krakowie
Rynek, Hotel Drezdeński.

Przegląd wychodzi każdego 5go i 20 dnia miesiąca i obejmuje półtora arkusza druku z dodatkiem rysunku lub autografu.
Rękopisma nie zwracają się.
Inseraty po 10 ct. od wiersza petitowego, następne po 5 ct.
Cena pojedynczego numeru 30 cnt.

DWIE SZARE GODZINY
FANTAZJA
E. Zorjana.

Szara godzina.....!

Ileż to marzeń w szarą ulata godzinę, ile szeptów miłosnych, westchnień i zaklęć; jak często przychodzi zaduma i myśl głęboko zaorze się w czole? Któż to policzy? A jednak to pewne, że w szarą godzinę najwięcej się myśli, najwięcej żyje duchem, zapomina o ciele. I ci pragną szarej godziny, co marzą i tęsknią i ci, którzy w spokoju i ciszy radziby ulecieć myślą w odległą przeszłość. Na skrzydłach wspomnień, jakże to miło przenieść się w zaranie życia, odetchnąć bodaj złudzeniem różowych dni wiośnianych. A do tego najsposobniejsza szara godzina. Tak ona pociąga do myślenia, tak rozbudza fantazję, rozsnuwa marzenie, że się oprzeć trudno i ulega mimowoli wiedzy. Starych dotyka to równo jak młodych.

Szara była godzina. Mrok zalegał pokój i zlewał zwolna kontury przedmiotów, zaciemniając mglisto to co głębiej i dalej od okien. Malowidło ścian zaczynało się plątać i zatapiać w szary ogólny ton, a tu i ówdzie lśniły do okien szkła obrazów. Między oknami przyparte do ściany stało wielkie biórko. Przy biurku fotel z wysokiem gotyckiem oparciem.

Na fotelu, w zadumie pogrążony siedział mężczyzna. O zmroku można było rozpoznać rysy szlachetne i piękne niegdyś, dziś troską czy smutkiem znękane, beznadziejne. Oko dziś zamglone zdradzało jednak dawny ogień, a siwizna jakby śniegiem przyprószyła czarny, gęsty jeszcze włos. Lat miał około pięćdziesiąt.

Zapomniał o obecnem położeniu, myślą odbiegł gdzieś daleko — czy szukał wspomnień, czy nudziła go tęsknota?

Tak, szukał wspomnień, wspomnień jasnych, weselszych, gorętszych, bo w tej pustej, cichej komnacie było mu źle, bezdusznie, zimno. Tak było cicho, a on chciałby trochę gwaru, trochę ludzkiego głosu, choćby to był śmiech lub wesoły szczebiot; tak było spokojnie, a on chciałby trochę bodaj życia, chciał bodaj jedno usłyszeć uderzenie serca. Miał dostatki, których mu tysiące zazdrościły, a byłby je oddał chętnie za jedną chwilę urzeczywistnienia swych chęci. Daremnie. Pragnienie wysuszało mu pierś, paliło go w tej chwili okropnie.

Dokoła było cicho, spokojnie.

Jemu ten spokój wydawał się grobowym.

Po raz pierwszy w swej samotności, a spędził w niej już lat nie mało, poddał się zupełnie smutnej myśli sieroctwa. Nigdy jeszcze nie czuł się tak samotnym i po raz pierwszy ogarnęła go myśl bolesna, że w tej samotności długie jeszcze będzie musiał przeżyć lata, że nigdy nie uczuje dotknięcia ciepłej dłoni, nie usłyszy uderzenia przyjaznego serca. I dalej jeszcze myśl smutna go zawiodła.

Widział się złamanym, dogorywającym. Wychudłe dłonie na białej spoczywały pościeli, oczy ostatnim blaskiem chciały żegnać świat i ludzi. Światem był mu ten pokój, w którym tyle chwil samotnych przeżył, te sprzęty nieme, zimne, które jego pożegnania nie rozumiały. Ludzie wszyscy byli mu obcy. Krzątali się po pokoju, pożerali już naprzód okiem całe jego mienie, a jeźli o nim samym myśleli, to tylko tyle, że im zawadzał, że żył za długo. Potem nieśli płatni słudzy trumnę. Księża za pieniądze śpiewali głośno i ten kawałek ziemi, w której go złożyć miano był także kupiony.

Na wszystko starczyło, wszystko było suto, ale wszystko kupione!

Nic darmo, nic z serca. Ani jedno ciche westchnienie, ani jedna łza żalu, coby na mogiłę spadła.

Jak rozkochany chwytał się tego obrazu, nie puszczał tej myśli. Jakże zazdrościł tym, u których łoża klęczy płacząca rodzina, za których trumną idzie żałobą odziana żona, a przy niej biedne sieroty. Rozumiał ból umierającego, gdy żegnał tych drogich, a zazdrościł, pragnął go.

I długo, długo błąkał się w tych myśli kole, coraz głębiej zapadając w smutną zadumę. Aż wreszcie zapytał:

— Dlaczego to tak jest? Dlaczego inni mają rodzinę, kochanych, kochających....? Dlaczego ja nie mam nikogo, coby sercem odgadywał serca mego smutki i bóle?

Pytanie to przeniosło go myślą w inną chwilę życia.

Nie słyszał już jęku dzwonów pogrzebowych, nie widział śmiertelnego blasku pochodni. Kiry żałobne rozsunęły się i odsłoniły widok nowy, czarujący.

Księżyc oblewał niebieskiemi blaski gęste klomby drzew i krzewów, promienie kąpał w cichym potoku, snującym się tuż pod sztachetami dokoła ogrodu. Z światłem jego rywalizowały błyskotliwe robaczki świętojańskie, których roje, jak drogie klejnoty lśniły się wśród gęstych warkoczy klombów. Woń kwiatów upajała.

Wśród takiej ciszy uroczej, ścieżką wijącą się pośród krzaków bzu i jaśminu przesuwała się para młodych ludzi. Ona cała w bieli wiotka, opierała się o jego ramię. On ku niej pochylony, zdawał się nadsłuchiwać, radby napoić, napieścić ucho brzmieniem jej głosu. Lecz ona nie mówiła nic.

Dróżyna wiodła ich do białej, brzozowej altany. Usiadła.

Biała jej suknia ułożyła się w miękkie fałdy na ławeczce, owiewając jakby mgłą piękną postać. Promienie księżyca przedzierały się pomiędzy brzozowe szczeble altany, okalając czarownem światłem głowę. Płowe włosy przybierały odblask srebra, a szyja i piersi lekko wychylająca się z pośród śniegu koronek i muślinu olśniewały białością i połyskiem perły. Perliły się dwa rzędy zębów, które odsłoniły rozwarte nieco przyśpieszonym oddechem usta, jedwabiem rzęs ozdobione powieki do połowy przemykały stalową barwą i połyskiem jaśniejące oczy.

Tak cicho było dokoła.

Potok coś tam szeptał niezrozumiale, jak dziecko usypiające, gdy marzy o swej ładnej kochanej mateczce, czasem plusnął przez liść lilji wodnej, a uradowany brylantami, które mu księżyc hojnie sypał na rozpryśnięte krople wody, płynął uśmiechnięty dalej. Płynął cicho, jakby się skradał koło altanki brzozowej; może podsłuchiwał?

Lecz cicho było, cóż mógłby podsłuchać.

On trzymał jej rękę w swojej dłoni, zbliżał ją ku sobie, aż wreszcie przycisnął do piersi, sam klęczał i oko topił w jej wzroku. Potem obrzucał tę rękę pocałunkami, ramieniem objął wiotką jej kibić, usta zlały się pocałunkiem, a serca w zbliżonych do siebie piersiach biły tak głośno, że mógł ich uderzenia ciekawy potok usłyszeć.

Długo trwała ta rozmowa bez słów.

— Felo moja — szepnął wreszcie młodzieniec — ty mnie nie zapomnisz, nie przestaniesz kochać?..

— Ty pytasz mnie jeszcze o to! Mogłożby to być, abym ja o tobie zapomniała..... o, ja cię kocham, bardzo, bardzo kocham — mówiła Fela, a w głowie jej brzmiała miłość gorąca, szczera.

Jakże czarującą kaskadą spadły te słowa w serce młodego kochanka. Poił się niemi, zachwycał, bał się przemówić, ażeby głos jego własny nie rozprószył echa, którem się one po tysiąc razy w duszy rozbrzmiewały.

Patrzał z zachwytem w twarz tej, która go tak kochała, którą on kochał i cicho odpowiedział.

— O, ja ci wierzę, wierzę i miłością bezgranicza twą miłość zapłacę. Będę myślał ciągle, nieustannie o tobie, z twoim wizerunkiem na sercu przebiegnę tę przestrzeń, która nas rozdzieli. Daleko od ciebie, będę zawsze przy tobie myślą i sercem. A potem, potem będę znowu przy tobie, tak jak teraz będę cię trzymał w moich objęciach, będę się tulił do twojej piersi i razem nierozłączeni będziemy szczęśliwi.

Szeptali jeszcze chwilę. Zapewniali się o miłości wzajemnej. Łzą żegnali w nadziei, że wkrótce uśmiechem szczęścia i radością będą się witali.

Pojechał. Powoływał go obowiązek zimny, nieubłagany. Lecz jechał z nadzieją rychłego powrotu, a ten powrót olśniewało mu szczęście wielkie: *miłość.*

«Za tydzień będę u Twoich nóg. Wszystko już załatwione, Kardynał najżyczliwszy dla mnie dał mi list do jednego z swych kolegów. Pośpieszyłem więc do Rzymu; upewnili mię, że rozwód będzie dany bez zwłoki. Tylko Ty nie odkładaj dłużej, napisz do męża, aby już nie wracał wcale, lecz przysłał przyrzeczone zezwolenie na rozwód — resztą ja się zajmę.

«Kochaj mię zawsze, jak ja Ciebie kocham

Władysław.»

Fela czytała list z radością. Cieszyła się, że jej drogi Władysław powróci, cieszyła myślą, że niedługo już będzie jego żoną, że im już nic nie stanie na drodze pięknej, o tak: pięknej miłości.

Fela była mężatką. Miała lat dopiero 22. Wydano ją dzieckiem prawie. Radzili wyjść za mąż, za człowieka, jak mówili statecznego, majętnego, którego wprawdzie nie kochała, ale też nie kochała innego. Rodziców nie miała, w domu opiekunów było jej jakoś ciasno, źle — więc poszła, aby mieć dom własny, aby nie zawadzać nikomu.

Nie kochała, szczęśliwą też być nie mogła.

Mąż wiedział o tem. Był dla niej dobrym w całem tego wyrazu znaczenia. Kochał ją bardzo, ale że siwizna już przyprószyła mu włos, więc w tej miłości było coś ojcowskiego. Miłości od Feli nie żądał, wiedział że to byłoby daremne, lecz chciał zdobyć przychylność, życzliwość. Fela była mu powolną we wszystkiem, a całem swem zachowaniem się zjednała sobie jego szacunek. On cenił ją bardzo. Wiedział, że choć Fela go nie kochała, nie kocha kogo innego. To go cieszyło. Fela z tego dumną była, ta wierność zdawała się jej zastępować szczęście.

Aż wreszcie Fela poznała Władysława.

Sami nie wiedząc kiedy i jak pokochali się. Fela pokochała pierwszą, wielką miłością, on oddał jej się z całą namiętnością. Miłość ukryta w tajemnicy wielkiej przed całym światem trzymana, tem więcej miała uroku.

Fela była żoną.

Obowiązek zbyt jej był świętym, aby go deptać mogła; miłość ogarniała ją całą, jej utrata utratą życia by była. Postanowili żądać rozwodu.

Mąż kochał Felę bardzo, lecz rozumiał, że z nim ona szczęśliwą nie będzie — z wielkim bólem i zaparciem się zezwolił na rozwód. O własnem szczęściu nie myślał, bo nie kochany przy niej, czy bez niej nie byłby szczęśliwym.

Jakże wdzięczną mu za to Fela była. On taki dla niej dobry. Zgodził się i choć mu łza w oku się zakręciła powiedział: dobrze. Na drugi dzień wyjechał. Ni sobie, ni Feli nie chciał być ciężarem.

A jednak dotąd nie wiedział, czy Fela kocha innego i kogo. On tak jej wierzył święcie, że był pewnym, iż nie zapomni o obowiązkach żony. Fela też mu nic nie mówiła. Ona dumną była z tej jego wiary, z tego zaufania. Za nic w świecie nie chciałaby stracić jego szacunku.

Kochała Władysława bardzo, nad życie; dotąd nie ciężyła na niej żadna plama, mogła się była przyznać do tej wielkiej, pięknej miłości, a jednak nie zrobiła tego. Nie chciała mężowi zasmucać czoła tą myślą, że ta, którą on jeszcze nazywał żoną, sercem i duszą należała do innego. Odczuwała, że to by go bardzo bolało, że jeźli nie zazdrość, to żal bardziejby jeszcze pobielił mu głowę.

Trochę współczucia, trochę w tem było dumy kobiecej.

«Dobrze. Tyś młoda i do szczęścia masz prawo, ja bym dla Ciebie był tylko ciężarem, bryłą lodu, coby ci zmroziła sny o szczęściu i złote marzenia. Że marzysz, wiem i chcę, aby na drodze do urzeczywistnienia tych marzeń nic ci nie stanęło zaporą.

Jedyne moje życzenie, byś była szczęśliwa

Wszystko co chciałaś zrobiłem, lecz pozwól bym cię raz jeszcze mógł zobaczyć, pozwól dziecię moje, bym raz ostatni mógł cię nazwać żoną. Za tę chwilę szczęścia, czy złudzenia zapłacę całem życiem samotności. Felo nie odmów mi tego. Dziś przyjadę wieczornym pociągiem, pozwól, że na chwilkę wejdę do tego domu, który moim nazywałem, ażeby tam pożegnać szczęście moje całe.

«Tyś taka dobra, nie odmówisz proszącemu cię o to — po raz ostatni tak się piszę —

mężowi.»

Fela dobrą była. Za tyle dobroci ze strony męża winną mu była tę jedną chwilę pożegnania.

Tak, niech przyjdzie, to będzie raz ostatni, potem już wolna, swobodna, odda się temu, którego kocha, który jej mężem będzie zarazem i kochankiem. Dok. nast.

GDY BĘDZIESZ STARUSZKĄ.

Z Béranger'a — La bonne vieille.

Gdy będziesz staruszką, kochanie ty moje,
Mnie wówczas nie będzie na świecie:
Już zamkną się za mną wieczności podwoje,
Już rzeki zapomnień obmyją mię zdroje...
Lecz ty nie zapomnisz mię przecie!..
Gdy zechce twa pamięć w przestworach przeszłości
Pobujać, — przypomnieć jej wdzięki. —
O, niech w niej twój dawny kochanek zagości!..
I niech na twe usta z uśmiechem tkliwości
Zaleci wdzięk mojej piosenki!..

Gdy będziesz staruszką, — to ócz twych błękity
I ten twój rumieniec — przygasną...
I ludzie spytają: gdzież wdzięk tej kobiety?...
Ów wdzięk, co poecie przynosił zachwyty
I natchnień wiązankę tak jasną?..
Ty zechcesz naonczas zamilczeć rozumnie
O blaskach, co siały twe wdzięki...
Lecz... niechaj wspomnienia oblegą cię tłumnie —
I, pod ich urokiem, wznieś głowę twą dumnie —
I zanuć im moje piosenki!..

Gdy będziesz staruszką — a młodzież ciekawa
Wybadać cię zechce coś o mnie, —
Niech wówczas twa miłość w pamięci twej stawa..
A będzie mi dosyć, gdy cicha i łzawa —
„Kochałam go..." powiesz im skromnie!..
Gdy dalej spytają: czy pieśniarz twój umiał
Z swej lutni serdeczne prząść dźwięki? —
Ty powiesz im tylko: on serce" rozumiał,
„On boleść swych braci śpiewaniem przytłumiał;
„On nucił miłości piosenki!.."

Gdy będziesz staruszką — a ludzie spytają,
Czym godnym był synem ojczyzny?, —
O, niech w twej pamięci te z piosnek mych stają,
Co nasze nadzieje i chwałę śpiewają,
I płaczą, gdy jątrzą się blizny!..
Niech w twoich wspomnieniach naonczas ożyją
I takie mej lutni oddźwięki,
Gdzie bóle gryzące pod śmiechem się kryją,
Gdzie śmiały duch depce tyranji żmiją!..
Och, zanuć im owe piosenki!..

Staruszko! Świat twego pieśniarza oceni,
Że natchnień napróżno nie zużył...
A tacy — wszak będą choć w grobie uczczeni:
Toż złożą mi wieniec spleciony z promieni
Tej sławy, na którąm zasłużył!..
I twoje też skronie pośmiertny mój wianek
Ustroi w powagę i wdzięki, —
Bo rzekną: „ów piewca — to był jej kochanek!..
„On dla niej, gdy jaśniał ich wiosny poranek,
„Wysnuwał z swej lutni piosenki!..

L. Kozłowski.

ORSZULKA KOCHANOWSKA

Z WIRUJĄCEGO STOLIKA.

Starsi z pomiędzy nas pamiętają epidemiczne obałamucenie, które przed trzydziestu laty ogarniało umysły nawet wykształconych nietylko u nas, ale prawie w całéj Europie. Mówię o wirujących i mówiących stolikach. Że to czasy nie tak dawne, żyje więc jeszcze wiele osób, które ulegały temu obłędowi; lecz dziś straciwszy wiarę w pokutujące w stolikach duchy, opowiadają nieraz przy nadarzonéj sposobności zdarzenia bądź to komicznebądź zastanawiające prawdziwą nadzwyczajnością—do uwierzenia trudną.

O jedném z takich ostatnich chcę tu parę słów powiedzieć, a nawet przytoczyć treść mowy zaklętego ducha, a chcę mówić dlatego, że uderza ono swą formą i dotyczy osobistości nieśmiertelnéj w literaturze przez pamięć ojca wielkiego — dotyczy Orszulki Kochanowskiéj.

Działo się w Stryju w Galicji. W pewnym domu urzędnika Czecha rodem ale *natione* i przekonaniem Niemca zasiadło kilka osób, aby rozpocząć zwykłą na owe czasy i osobliwie przez kobiety ulubioną zabawę. Stolik począł wirować i dawać wyrocznie. Z kolei miała pytać ducha pewna uboga panienka, siérota, która przypadkowo znajdowała się w tym domu.

— Kto jesteś — było pierwszém zapytaniem, kiedy (jak wówczas mówiono) «duch dał znak, że chce mówić.»

— Orszulka Kochanowska — brzmiała odpowiedź. A zaraz potem pisało bez przerwy:

Duch małéj dzieciny
Z niebieskiéj krainy
W rosę się rozpłynął
I w błękicie zginął.

Nazwisko powyżéj wymówione nie zastanowiło nikogo, bo było ono dla wszystkich obecnych obce. Również nie zwracano uwagi i na same wiérszyki co do treści, ale zdziwienie ogólne zapanowało, że duch mówi wiérszami. Siérota była Polką — kilka osób umiało również po polsku.

— Czy ci tam dobrze? — zapytała siérota zaciekawiona.

Orszulka odpowiedziała.

Jak Bozia mię przyjął
Do swojego nieba,
Szczęśliwam zupełnie,
Nic mi nie potrzeba.
Wśród pieszczot anielskich
Rozkoszy niebieskich,
Gonię za chmurkami
Jak za motylkami.
Bóg mi dał skrzydełka
Jak złote światełka,
Różane sukienki
Z promienia jutrzenki,
I piękny wianeczek
Z srébrzystych gwiazdeczek.

Pytająca słysząc tak piękne wiérszyki «Napisz mi co do albumu» — poprosiła Orszulkę. Zagadniona pisała jak następuje:

Gdy ci miło rozmawiać z Orszulki duszyczką
Bądź pozdrowiona, kochana siostrzyczko!
Choć ci nieznana polubiłam ciebie,
Bo myślą często prześlizgasz po niebie;
I co w méj głowie dawno się roztliło,
W twojém serduszku nieraz się odbiło.
Lecz nad wiérszyki i milsze nad kwiatki
Błogosławieństwo przynoszę ci matki.
A teraz słuchaj co Orszulka powié,
Bo przez jéj usta mówią aniołowie.
Zachowaj wiarę czystą i dziecinną,
Myśl nieskażoną i duszę niewinną.
Módl się gorąco duszy słowami,
Wylaniem serca, pokuty łzami;
Bo wierz mi siostro pokuty łezki,
Liczy i chowa Ojciec niebieski.
A kiedy wierna Orszulki rady
Wstępować będziesz w wskazane ślady —

Ulecisz w niebo jak gołąbka biała,
Boś już na świecie dużo wycierpiała
I tam, gdzie szczęście wiecznie w kwiat rozkwita
Matka z Orszulką piérwsza cię powita.

Wstrzymując się najzupełniéj od komentarzy, podałem te wiérszyki udzielone mi przez osobę wiarogodną, uderzony ich pięknością i prostotą, przystającą tak do pamięci téj dzieciny, sympatycznie w dziejach literatury naszéj wspominanéj. Twórca ich musiał być nie ostatnim poetą i musiał się przejąć naiwnością dziecka i postawić w jego urojone położenie.

Roman Zawiliński.

W KLASZTORNEJ CISZY

przez Elizę Polko.

NOWELLA.

Dzień wiosenny zaglądał do kościoła św. Sebastyana w Wenecji. W krzyżowe chodniki i otwarte korytarze płynęła woń niezliczonych kwiatów i świeżych ziół — dzikie róże w klasztornym wirydarzu miały już listki, lacerty igrały w słonecznym blasku na szérokich kamieniach, motyle wlatywały przez uchylone okna do cel zakonników; a dumny Adryatyk okrył się płaszczem błękitnym, przetykanym złotem. Nawet przez pstro malowane szkła kościelne wkradało się światełko do wnętrza zasypując podłogę lśniącym maczkiem, by kamieniami drogiemi. Ale tym razem podniesiono firankę w środkowém zawsze zasłoniętém oknie, a przez małe bezbarwne szybki przedarł się z całą siłą széroki strumień światła i oblał obraz po raz piérwszy ustawiony przed ołtarzem.

Była to Madonnna cudownej piękności, której delikatne rączki śpiące boskie Dzieciątko okrywały welonem. Mnich klasztorny Fra Sebastiano del Piombo wymalował tę prześliczną postać kobiecą. Świętobliwi zakonnicy wszyscy bez wyjątku byli oczarowani obrazem. W pobożnych grupach, gromadzili się przed mistrzowskiém dziełem, spoglądali nań i nie mogli nasycić się widokiem! — Niektórzy na kolanach kornie pochylali czoła, jakby zwalczeni wyrazem ócz wpół przymkniętych z długiemi rzęsami. Nawet z ksiąg modlitewnych spojrzenia kierowały się ciągle ku wspaniałej Niebios Królowéj, która tak bosko, a zarazem dźwięcznie po ziemsku wyglądała w swej słodkiej trosce macierzyńskiéj O lśniącéj barw wspaniałości mówił także przewodnik ociemniałego przeora, wiodąc go na zwykłe miejsce; ale właśnie koło ławki niewidomego starca mnich jakiś rzucił się na ziemię. Nie była to modlitwa, która go do podobnego łamania rąk, do przyciskania rozpalonej skroni o stopnie kamienne skłoniła — nie, to był rozpaczny ból, bezsilne pasowanie się, dzika walka! Dlatego przewodnik przeora przystanął i rzekł litośnie:

— Przewielebny ojcze! oto Fra Sebastiano del Piombo, malarz obrazu, leży u stóp waszych i prosi o błogosławieństwo.

Ciemny podniósł głowę — pełne światło padło na oblicze nacechowane niebiańskim spokojem i wzniosłą rezygnacją, wysunął rękę z ramienia swego przewodnika mówiąc:

— Pokój z tobą mój synu! — Poczem powoli przeszedł koło niego.

Brat Sebastiano leżał nieporuszony. Mnisi jeden po drugim opuszczali kościół, spoglądając na malarza już to z współczuciem, już z przestrachem. Większa połowa z nich także walczyła, miotała się bezradnie, znała owo uczucie nadmiernej boleści, ale wiedziała również, że chwile te przeminą jak wszystko na świecie.

Mary bezcielesne, podobne do snu minionego otoczyły twórcę obrazu Madonny; nie wiedział, że wszyscy bracia zostawili go w cichym kościele klasztornym samego z myślami tylko. — Przeszłość cała stanęła mu przed oczyma. — Jakżeż wesołe były jej pierwsze zarysy? — Swobodnym chłopięciem widział się u stóp pięknej matki grającej na lutni, lub na kolanach łagodnego ojca. Słyszał słodki głos matuchny, oddający z nieporównanym wdziękiem ogniste tony pieśni, zapragnął śpiewać podobnie i stał się jej pojętnym uczniem. Póżniej znakomity Vendoletto kapelmistrz od św. Marka wtajemniczył go w sztukę gry na lutni i śpiewu; a postępy młodego Sebastiana Lucciani były zdumiewające. Kobiety nie wiedziały co więcej w nim podziwiać ogniste oczy, czy miękki głos? Naraz odkryto cudowny talent malarski w młodzieńcu; — zgrzybiały Giovanni Bellini wprowadził go w promienny świat kolorów i polecił wielkiemu Giorgione.

Ileż rozkosznych wieczorów przeżył Lucciani w domu mistrza! gdy jeszcze tam piękna przedstawicielka sławnej lutnistki, jako pani rządziła. Uwodziciel tego czarownego stworzenia, ładny Pietro Lucci, lub Sebastian grali na lutni, śpiewali; niekiedy przyłączał się do nich ubóstwiany śpiewak Ubretto, który także odwiedzał małżonków. — Potem nasunęły się poważniejsze obrazy: Giorgione popadł w straszną rozpacz—żona jego umknęła z Pietrem, a gdy w końcu skruszona wróciła do męża przyniosła mu —morową zarazę i ostatnim pocałunkiem w grób go pociągła.

Niepowstrzymanym pędem jedne po drugich cisnęły się obrazy. Olbrzymia postać Michała Anioła stanęła mu w pamięci; u stóp której znalazł się znowu. Mistrz posługiwał się pędzlem nowego ucznia, by walczyć przeciw kolorytowi Rafaela błyszczącym jak słońce w przestworzu. Obrazy Luccianiego w istocie odznaczały się niezrównanym wdziękiem. — Wkrótce młody ulubieniec kobiet od obrazów świętych zwrócił się do portretów, a portrety te wzbudziły nadzwyczajne zajęcie, szczególnie, gdy piękność Wiktorji Colonny największej włoskiej poetki, pędzlem jego w cudowny sposób uwiecznioną została.

Były to dnie sławy, dnie blasku słonecznego i użycia, które przemknęły tylko. Najsławniejsi i najznakomitsi mężowie, najpiękniejsze i najdumniejsze kobiety pragnęli by ich malował. Powoływano go z Wenecji do Rzymu, Florencji, Neapolu a wszędzie unoszono się nad delikatnością i podobieństwem głów jego, nad wdziękiem rąk i technicznem wykończeniem drobnostek jak materje, złoto, stroje i ozdoby.

Jednak mimo przepysznego otoczenia i niestałegó życia, serce malarza nie znało uczucia miłości, a świeże usta jego szydziły w tak śmiały sposób z jej mocy, iż wiele pięknych kobiet prorokowało mu ciężką karę.

— Szczęśliwa miłość, cóż to za nudy! — mówił często żartując. — Błagam świętych o niepowodzenie dla siebie.

Wtém wydarzyło się, że jeden z Medyceuszów, Kardynał Hipolit, dał mu polecenie odportretować ową kobietę, która miała być fatalizmem jego życia, żonę Vespasiana Colonny, Guilettę Gonzaga.

— Wiem, że jesteście rozsądni i zimni na wdzięki kobiece; rzekł mu wysoki protektor, dlatego wybrałem was do malowania tej najpiękniejszej kobiety na ziemi.

Piękna Helena trojańska zdawała się zmartwychwstać w postaci Gonzagi, nazywano ją: cudem. — Nie tylko ojczyści poeci opiewali jej piękność mącącą zmysły w canzonach i sonetach, ale i do niemieckich minstreli i francuskich trubadurów doszła sława tego zjawiska bez skazy. — Nie było jednak nigdzie jej obrazu. Najpiękniejsza kobieta we Włoszech nie chciała w żaden sposób pozować malarzowi, a nikt, nawet ona sama, nie mógł powodu wstrętu tego wytłumaczyć. Kardynał Medyceusz wielki wielbiciel czarodziejki za jakąbądź cenę pragnął posiąść jej wyobrażenie; przeto ułożył z Sebastianem Luciani plan, wskutek którego życzenie swoje nawet wbrew woli Julji miał urzeczywistnić.

Małżonka Kolonny lubiła muzykę nad wszystko, była ona jej jedyną namiętnością: dobry śpiewak, lub grajek zawsze mógł dostać się na jej dwór. Przebywała wówczas w zamku Fondi, tam to młody malarz opatrzony należycie przez protektora udał się bez zwłoki i wstąpił do służby.

O ten sen uroczy! który po latach męki i samotności, jednako każdej nocy pojawia się, by wieść go w rajski ogród woniący rozkosznie do stóp uwielbianej, która ukazała mu się, by rozradować go i po wszystkie czasy zrobić nieszczęśliwym!

Jakże słodko brzmiały jej słowa, gdy zachęcała go dobrotliwie do odśpiewania pieśni, przy której zamierał mu głos z wielkiego wzruszenia. Ale podczas chwil tych dusza artysty przyswajała sobie obraz cudowny, a miłość kierowała ręką. Z pamięci jedynie malował Sebastiano w samotności na zamku Fondi najpiękniejszą kobietę w ojczyźnie.

Miesiąc tylko dozwolono cieszyć mu się światłością oczu; poczem Kolonna zawiózł żonę do Neapolu. Młodego śpiewaka «na czas nieograniczony» uwolniono. I nadszedł dzień, w którym nieszczęśliwy ten padł przed czarodziejką na kolana i wyznał jej wszystko niecne oszustwo i skrytą namiętość, która go owładnęła, przyczem odsłonił obraz ów malowany tajemnie w szczęściu i boleści.

Z czystego kolorytu wynurzała się niezrównanie piękna głowa, przeźroczyste szaty osłaniały wspaniałą postać; ale Julja Gonzaga głęboko wzruszona odwróciła się od obrazu i od klęczącego artysty.

— Wielką sprawiliście mnie boleść Sebastianie Lucciani! — rzekła cicho — nie mogę o was więcej myśleć. — Bądźcie zdrowi na wieki! — Weźcie obraz; nie chcę go nigdy widzieć, ani tego kto go malował.

Gdy Lucciani wrócił do kardynała, podał mu wykonany starannie obraz kobiety, która w fantastycznym stroju jakby na bal maskowy ubrana trzyma w białych dłoniach kasetkę z klejnotami. — Ale uprzejmy mecenas po raz pierwszy był niezadowolony z pracy swego pupila. — «To tylko podobizna» wyrzekł — a nie portret czarodziejki! Jak to się mogło stać, że nie trafiliście lepiej?

— Ponieważ ręka kłamcy i oszusta nie zdolną jest oddać pełności światła i blasku — odpowiedział malarz ponuro.

Ach! ciężko odpokutował to kłamstwo! Obraz, który schował, był jego najwyższym skarbem i męką najsroższą zarazem. Nie mógł nasycić ócz swoich temi kształtami wzniosłemi i linjami delikatnemi, a jednak portret ten — mówił sobie po tysiąc razy — był tylko cieniem żyjącej czarownej rzeczywistości.

Doświadczył tego, co wyzywał tak swawolnie — doznawał nieszczęśliwej miłości. — Nosił z sobą wszędzie tę tęsknotę bez końca, tę troskę nieuleczoną. Naprożno młody malarz poświęcił się sztuce z zupełnem oddaniem, i w męczącej pracy szukał zapomnienia, naprożno malował tylko męzkie głowy i sceny z żywota świętych, w których nie było kobiety — naprożno! rzucił się w wir szalonego życia i okazywał się najdzikszym między rozpasanymi towarzyszami! — Po każdym pustym dniu, następowała noc, w której dręczony wyrzutami rzucał się na kolana przed obrazem swéj niedoścignionej!

W tej ustawicznej walce stała się rzecz do wiary niepodobna, która w całych Włoszech zrobiła wielkie wrażenie: Sebastiano Lucciani został mnichem, z zakrwawionem sercem schronił się w cienie klasztoru. Przedtem wszelako rozłączył się z obrazem sprawczyni swego bolu. W napadzie zwątpienia i gniewu zapakował portret Julji Gonzagi w skrzynię, wśród nocy zaniósł go na Piacettę i rzucił skarb swój ukochany pod arkady. Poczem bezzwłocznie zapukał do najbliższego klasztoru i prosił o przyjęcie.

Długie lata żył tam i malował męczenników jedynie — wydalał się często do Rzymu, Florencji, Bolonji; w końcu obrał sobie na stałe mieszkanie Rzym, gdzie papież Klemens usługi jego nagrodził posadą pieczętarza.

Opuszczając klasztor w Wenecji namalował pobożnym braciom ową Madonnę. Była to pierwsza kobieca głowa, którą zrobił po portrecie Julji Gonzagi. Ach! te spuszczone cudowne oczy Niebios Królowej, widzów tak zachwycające — to były owe nigdy niezapomnianej! A gdy obraz w klasztornym kościele zawieszono, i wszyscy sławili malarza zazdroszcząc mu szczęścia stworzenia takiego arcydzieła — on czuł się więcej złamanym niż kiedykolwiek. Rzucił się na kamienną posadzkę pożądając spokoju, a wszystkie upajające wspomnienia z podwójną siłą wystąpiły mu przed duszą — pojął, że nie dadzą się zatrzeć — nie dadzą zabić niczem — nawet święte miejsca jednego mu udzielić nie mogą — a to — zapomnienia.

Zapiski T. Lipińskiego

Ciąg dalszy.

Puszczono w obieg wiersz na jener. Krasińskiego tej treści: pałac Krasińskich mówi do niego: Odrodny potomku! jak śmiesz zasiadać w świetnem gronie senatu i nie lękasz się, aby cię te mury nie przygniotły za twoje niecne postępki. Wyrzuca mu następnie że się upadla, że działa w chęci zysku i nadziei zostania namiestnikiem, lecz że pierwej wiatr ziemię polską rozproszy nim jego spełnią się zamiary, że władzca, który nami rządzi, brzydzi się podobnymi ludźmi itd. W końcu pałac znać go nie chce i herby jego z siebie zdziera. — Policja śledzi autora, a jenerał wyznaczył nagrodę za wynalezienie onego.

Dnia 10 zebrał się sąd sejmowy; zwolna czynności swoje odbywa, oczekując odpowiedzi od cesarza na przełożenie W. Ks. jeźli tylko jakie uczynił, gdyż nie wiadomo z pewnością jaki obrót rzecz ta wzięła. Zastanawiano się na tej sessji nad redakcją dekretu, czyniono zmiany, poprawki.

Dnia 13 wyjechał ztąd do Bruxeli ks. Oranii po kilkodniowym pobycie.

Dnia 14 sesja sejmowa krótko trwała. Z umysłu, jak mówiłem zwlekają a okazują przed publicznością, że działają, że nie są w swych czynnościach skrępowani. Lecz kogoż łudzą? wszyscy bowiem wiedzą co się stało, piorunem każda taka rzecz po mieście się roznosi. Ostateczną czyniono redakcją wyroku; wypracował go Rzempołuski, pisarz sądu sejmowego, ma być najdokładniej wymotywowany, wzorowo ułożony i napisany.

Dnia 17 udało się do obozu Naj. Pana sześciu oficerów inżynierji; dowodzi nimi kapitan Wilson i dziesięciu oficerów ze sztabu kwatermistrzowstwa, nad tymi przełożony jest kapitan Chrzanowski; tak pierwsi jak i drudzy zostają pod komendą pułkownika Hauke. Ma się rozumieć, iż wybrano najlepiej uzdatnionych.

Dnia 19 sesja sądu sejmowego. — Odczytano zupełnie już zredagowany wyrok, poczem prezes polecił odczytanie reskryptu rady administracyjnej komunikującej sądowi wolą W. Ks. na piśmie udzieloną, wstrzymującą ogłoszenie wyroku. Następnie zabrał głos prezes i rzekł między innemi, że z boleścią widzi się być zniewolonym solwować sesją do nieograniczonego czasu, a to

ulegając woli wyższej władzy działającej w imieniu Naj. Pana, lubo to się dzieje wbrew konstytucji i organizacyi sądu sejmowego itp. Kasztelan Kochanowski prosił o głos, na co mu prezes odpowiedział: daruje kolega, iż ani jemu ani nikomu głosu dać nie mogę. Rozsądnie w tej mierze postąpił, bo na coby się przydało rozwodzić na próżno — cóż bowiem w takim razie najzdrowsza rada, najwymowniejsze usta zdziałać mogą? Czekajmy, a czekajmy cierpliwie co z tego wyniknie.

Dnia 20 przypadła rocznica ogłoszenia Królestwa i nadania karty konstytucyjnej, lecz jakaż gwałtowna zmiana, co za różnica od lat poprzednich! Zwykle obchodzono uroczyście dzień ten, zebrane całe wojsko słuchało mszy i nabożeństwa odprawującego się pod rozbitym w polu lub na placu Saskim namiotem, wobec wszystkich władz rządowych i przy biciu z dział. — Dziś z tego wszystkiego nic nie było, odbyło się tylko nabożeństwo w katedrze, a wypadkiem tym tak się potrwożono, iż nawet mało senatorow, a mniej jeszcze wyższych urzędników w świątyni obecnych było; okazuje się z tego oczywiście, iż W. Ks. na cały kraj jest zagniewany. Dzień ten pognębił do reszty już i tak zatrwożone umysły; powszechna posępność widzieć się daje — oby tylko przeczucia nasze płonnemi się okazały!

Dnia 22 dopiero weszły wojska do obozu, mówię dopiero, gdyż zwykle 13 wchodziły — od dni kilku były zgromadzone i stały w pobliżu Warszawy. Dzień ten był nadzwyczaj gorący, żołnierz mający cały pakunek, utrudzony całonocnym pochodem i oczekiwaniem na miejscu godzin kilka, nie dziw, że był znużony i z osłabienia wielu żołnierzy, szczególniej z gwardji polskiej, osłabło do tego stopnia, iż kazano ich do lazaretu obozowego odprowadzić. Ujrzawszy W. Ks. taki orszak, przypada do nich i groźno zawoła: co to znaczy? Tym jednym wyrazem jakby odżyli żołnierze, nowych sił nabierają i każdy co tchu u swego szeregu staje. Jeden tylko więcej osłabiony pozostał i wytłómaczył rzecz całą. Miał co słuchać jenerał, pięciu zaś kapitanom i dwom pułownikom, z których batalionów ci ludzie byli, kazał odebrać szpady i na odwach zaprowadzić. Równyż los spotkał i dwóch pułkowników od artylerji pieszej. Tegoż dnia ogłoszono rozkaz, i nikomu, począwszy od żołnierza prostego, aż do jenerała nie wolno oddalać się od miasta bez zameldowania się dniem wprzódy do W. Ks., na co się wydawać będzie każdemu z osobna pozwolenie na piśmie z wyrażeniem od której do której godziny ma wolny pobyt w mieście, przekraczający zaś będą pod sąd wojskowy oddani i karani najsurowiej. Cywilnym zaś zostało wzbronione bywanie w obozie.

Reskryptem kom. spraw wewn. dozwolonem zostało zbieranie składek w Królestwie Polskiem na pomnik wystawić się mający monarchom pols. Mieczysławowi i Bolesławowi Chrobremu w kościele katedralnym w Poznaniu, Naj. Pan znacznie się przyłożył w tym celu. Pierwszy pomysł do tego pomnika dał ksiądz Wolicki, teraźniejszy arcybiskup gnieźnieński; jego piękna odezwa tyle skutkowała, iż znaczne ofiary pieniężne ze wszystkich części dawnej Polski wpływają.

Młodzianowski, tłómacz w komisji sprawiedliwości ma polecenie przełożenia na język francuski wyrok sądu sejmowego. Kasztelan Franciszek Nakwaski wyjechał był do swej majętności o mil kilka odległej — wyprawieni natychmiast w pogoń za nim zostali żandarmy, a tak przy tej straży honorowej, musiał natychmiast wrócić!! Niektórzy z senatorów mają swoich widomych aniołów stróżów, którzy pilnie śledzą ich kroki i tuż za nimi postępują. O baczna przezorności!

Dnia 23 arcybiskup Woronicz wyjechał do Krakowa dla zdania swej przeszłej dyecezji i przyjęcia paliusza. Przez radę admin. wyjednał sobie u W. Ks. pozwolenie na dni piętnaście.

Dnia 25 ogłoszono w obozie rozkaz dzienny, aby żołnierz był gotowy do marszu i opatrzony na trzy dni w żywność — za czwartem zaś uderzeniem w bęben, całe wojsko ma stanąć pod bronią ze wszelkim pakunkiem. Nie wiadomo co to ma znaczyć, czy W. Ks. chce doświadczyć czynności żołnierza, czy też w istocie ma zamiar gdzie ich wyprowadzić.

Dotąd, to jest do dnia ostatniego b. m. żaden z jenerałów tak ros. jak pols., a nawet żaden ze sztabowych oficerów nie podał się o pozwolenie udania się do miasta. Widać, że jest im przykre to obostrzenie i wolą zostawać w obozie, niźli z karteczką w ręku meldować się na warcie podoficerskiej u rogatki. Nietylko do miasta, ale nawet do kąpieli do Wisły lub Marymontu, bez podobnego pozwolenia udać się nie mogą, nogą stąpić za łańcuch obozowy (tak nazwane straże do koła będące) surowo jest wzbronione. Żołnierz nawet wysłany do miasta lub gdzieindziej w interesie służbowym, musi być opatrzony w podobny certyfikat, z wyrażeniem na jak długi czas się oddala.

Lipiec. Rzec można, iż żyjemy w czasie powszechnej trwogi — tak dalece wypadek sądu sejmowego nas przeraził, iż zdaje się, jakoby był nasz byt zachwiany; głuche lecz okropne przyszłości wieści rozchodzą się po mieście. Przytoczę jednę z nich, za autentyczność ręczyć nie można, dosyć, że o tem bardzo mówią. Za przybyciem ministra sek. stanu Grabowskiego do głównej kwatery miał się go zapytać cesarz o sądzie — odpowiedział jenerał, że sąd uznał, iż niema zbrodni stanu; na co cesarz: Ils ont sauvé les coupables mais ils ont perdu le pays. — Czy w istocie to wyrzekł cesarz, czyli też kto puścił tę wieść zmyśloną, zgoła że daje ona powód do tłómaczenia tych wyrazów najniekorzystniej dla naszego Królestwa.

Słychać, lubo ręczyć za pewność nie można, tak dalece wszystko jest tajemnicą pokryte, iż przetłomaczony na język francuski wyrok sądowy, dnia 1 b. m. przesłał W. Ks. do głównej kwatery cesarza.

Dnia 2 wieczorem widziano jak Krzyżanowski, Majewski, Grzymała i Plichta wywiezieni zostali pocztą na trakt petersburgski. Nowy cios, nowe zadanie rany! Po co, na jakiej zasadzie, dokąd? każdy się pyta, a nikt odpowiedzieć nie umie. Sąd sejmowy, wiem z pewnością, ani prezes nie są o tem wypadku urzędownie zawiadomieni — cóż oni znaczą? za co uważani? Niech im raz powiedzą, że rozwiązane są ich czynności, że za nic się ich niema, chętnie przystaną, a niech im tylko opuścić Warszawę pozwolą, gdzie są dotąd wyraźnie jak pod aresztem i żadnego znaczenia nie mają, jak się to z niniejszego czynu jawnie okazuje. Rzecz osobliwsza i godna zastanowienia: wszakże to od dziesięciu, a może i więcej dni runęła wieść o ich wywiezieniu; nie wspomniałem o tem, mając ją za błędną, jak tyle innych, które rozsiewają, lecz niestety sprawdziła się ona w dniu dzisiejszym.

Kasztelan Sołtyk i ks. Dembek dla podeszłego wieku i osłabionego zdrowia pozostali w więzieniu; egzaminowani byli przez lekarza, który sumienne dał zaręczenie, iż stan ich zdrowia i trwające upały nie dozwoliłyby im odbyć dalekiej podróży pocztą. Wiemy więc tedy, że owych czterech posłano do Petersburga, ale po co? jest jeszcze zagadką. Mówią wprawdzie, iż dla konfrontacji z więźniami litewskimi i wołyńskimi, ale wszakże już były te konfrontacje w Warszawie i w przytomności senatorów

ross. Załuski pozostał w naszej bastylji t. j. w klasztorze Karmelitów na Lesznie. O ósmym zaś, to jest Zabłockim, niema dotąd pewności, czy pozostał, jako mniej winny, czyli też wywieziony został.

W tych dniach wydano polecenie na rogatkach od komendanta placu ross. jenerała Lewickiego, aby kto tylko wyjeżdża lub wychodzi za miasto, choćby najbliżej na spacer, bez wyjątku wszyscy się zapisywali po nazwisku wszędzie, gdzie mieszkają i na jak długi czas oddalają się za okopy miasta, również się zapisuje za powrotem, a to bez wyjątku nawet i kobiety. — Do czego ta ostrożność?

Dnia 13 wyjechali do Petersburga senatorowie ross. po blisko rocznym pobycie.

Dnia 15 odbyło się uroczyste zamknięcie kursów uniwersyteckich i rozdanie medalów za rozprawy. Poczem profesorowie dali obiad składkowy, na którym znajdowali się i uczniowie, którzy odebrali nagrody. Każdy dziekan wydziału zaprosił i zapłacił za obiad swoich uczniów. Piętnastoletni Zygmunt Krysiński, a będący już lat dwa na uniwersytecie, otrzymał medal złoty za rozprawę w przemiocie matematycznym napisaną.

Dziś mamy 21, a do tej chwili wszystko u nas głucho, i cichość największa panuje; mówię tu w przedmiocie wszystkich nas najwięcej obchodzącym, to jest o sądzie sejmowym.

Bez czynienia żadnych uwag opiszę następującą okoliczność najrzetelniej. W tych dniach przybywszy W. Ks. rano do obozu, meldują mu o przytrzymaniu sześciu kobiet, utrzymujących się z sprzedajności swych wdzięków. Jakoż stawiono je zaraz, wszystkie pięknie postrojone. Wydany najwyższy wyrok natychmiast wypełniony został, to jest ogolono im głowy. Nic nie skukowały ich płacz i prośby, przy dwóch takowych operacjach obecny był W. Ks.,—gdy i na innych dopełniono wymierzoną karę, nie dość na tem, odprowadzone zostały do miasta boso, obnażone prawie, gdyż im zdjęto chustki, kapelusze i odebrano parasolki. Osobliwszego rodzaju był to widok, widzieć nieszczęśliwe te ofiary idące zaszlochane ze świecącemi głowami, zbryzgane krwą, gdyż przy takiem wzruszeniu poraniono je brzytwą i kryjące swe oblicze w rękach przed mnóstwem ludu towarzyszącego aż do ratusz. Nie dość na tem, przywołano tamże i trzy gospodynie, które były wyprawiały owe dziewczęta do obozu, i również im głowy pogolono.

Od dni kilku rozchodzi się wieść, którą najskryciej jeden drugiemu powierza, iż przyszło od cesarza pismo odwołujące ztąd Nowosilcowa, jako sprawcę wszego złego, potwarcę Polaków itd. Nie masz go tu w tej chwili, znajduje się w Wilnie na obchodzie jubileuszu zaprowadzenia uniwersytetu. Wieść ta coraz się rozchodzi, mówią o niej już śmielej, ale wszelako zupełnej pewności nie mamy i lękamy się, aby się nie zamieniła w baśń, jak już tyle innych w tym względzie o nim puszczonych. Gdyby się to sprawdziło, rokowałoby szczęśliwszą przyszłość naszym więźniom stanu.

Inżynierowie nasi i kwatermistrze sztabu cesarskiego donoszą znajomym o łaskawym ich przyjęciu przez cesarza; każdy z nich otrzymał 6cio miesięczną płacę i po 200 złp. na konia. Porozbierani natychmiast zostali po dywizjach; Stryjeński znajduje się przy boku cesarza, Malczewski przy W. Ks. Michale itd.

Dnia 29 wyjechał W. Ks. na obejrzenie korpusu litews.

Subordynacja obozowa trwa ciągle. Jenerałowie tylko mają zwolnienie w tym względzie, iż nie biorą pozwolenia na piśmie; meldować się tylko do sztabu obozowego są obowiązani dniem wprzódy, o której godzinie i na jak długo udają się do miasta.

Sierpień. Senatorom nie wolno dotąd oddalać się z Warszawy. Biskupi zaś otrzymali pozwolenie proszenia o pozwolenie udania się do swych dyecezyj.

Mylnie umieściłem był powyżej o odejściu wyroku sądu sejmowego do cesarza, w istocie zaś dopiero przed kilku dniami wyprawiony z nim został jenerał adjutant Fanschhove (Fencz). Załączono też i raport we franc. języku pod dniem 30 czerwca, zdany przez prezesa sądu, a jak się dorozumiewają zredagowany przez ks. Adama Czartoryskiego wdę. Ci co czytali to pismo uznają, iż jest jasno, gruntownie, a nawet wzorowo ułożone. Cała ta wielka sprawa treściwie zebrana z wszelką szczerością i otwartością skreślona, godna jest druku, aby była w Europie znajoma. Zdający sprawę zwięźle rozbiera postępek i udział każdego z uwięzionych, przemawia za każdym, zręcznie używając słów ś. p. cesarza wyrzeczonych na kongresie w Wiedniu i na dwu sejmach naszych, zwraca wreszcie uwagę, że wymierzone na nich kary, są stosunkowo większe od ukarania spiskowych ross. policzonych do 11tej klasy, działających z bronią w ręku, a którzy bez odjęcia szlachectwa skazani zostali na lat dwa na prostych żołnierzy, z wolnością dosłużenia się stopnia. W końcu zaś wyraża nader trafnie, iż w chwili podpisywania wyroku odebrali od rady admin. reskrypt z poleceniem wstrzymania ogłoszenia tegoż wyroku, błagając przeto Naj. Pana, aby im za złe nie brał, iż ulegli wezwaniu władzy, od której nie są bynajmniej zawiśli, gdyż jako uorganizowani od samego cesarza, jego tylko rozkazom posłuszni być winni itd. Baron Mohrenheim i jenerał Rautenstrauch mieli polecenie zrefutowania tego pisma; ale gdy pracę i jednego i drugiego nie uznał dość gruntownemi W. Ks., przeto raport powyższy przesłany został do głównej kwatery.

Wieści o Nowosilcowie nietylko, że się nie sprawdzają, ale nadto nic o nim nawet nie mówią. Jednakowoż coś w tem musi tkwić, gdyż ogłoszono, iż odtąd wszelkie ekstrakta idące za granice Królestwa, poświadczać będzie baron de Mohrenheim sekretarz i naczelnik biór W. Księcia. Dotąd zaś było to udziałem Nowosilcowa.

Dnia 13 wrócił W. Ks. z objazdu korpusu lit. Brał z sobą tą razą nierównie liczniejszą świtę niż zwykle.

Oddawna zapowiedziany, długo oczekiwany, przybył wreszcie statek, tak zwany okręt parowy. Od Gdańska płynął nader zwolna, po większej części go ciągniono, a to z powodu, iż kocioł parowy pękł, a co najbardziej, że woda jest za mała dla niego. Stanął przy potoku pod Bielanami i dalej nie może postąpić; mnóstwo osób nawiedza to dziwo za opłatą złotego na rzecz Towarzystwa zupy rumofordzkiej. Nie można dociec prawdy, kto jest właścicielem onego i na jaki cel zakupiony został w Anglji za 13 tysięcy dukatów. Podług jednych miał go sprowadzić nasz wszystko możny Lubecki, minister skarbu; podług drugich zaś P. Wolicki, który jest niejako prawe ramię pierwszego, przytem wielki przedsiębiorca. Prawda, że statek ten gustownie jest wewnątrz urządzony, do zbytku nawet: stoły, meble mahoniowe, pięknej roboty, sofy morą pokryte, lustra itd. zdobią cztery pokoje, nadto jest izba dla ludzi okrętowych, wszystko to bawi oko, ale każdy co to obejrzy, zapyta: *cui bono*?

Zjechała była do Wilanowa księżna jener. Czartoryska. Przez dni kilka jej tamże pobytu nawiedzał swą matkę książe Adam

wda, lecz trzymając się ściśle przykazu, zawsze na noc wracał do miasta. Ani przewidzieć nie można, jak długo ten areszt senatorów trwać będzie, żadnej bowiem dotąd wiadomości w tej mierze nie masz od cesarza; oprócz kosztu, przykro to być musi siedzieć tak długo bezczynnie w Warszawie.

Dnia 27 po kilko tygodniowych ciepieniach i męczarniach zmarł Aleksan. Albrecht jenerał ros., dowodzca dywizji gwardji konnej, mając lat 42. Utrzymywano prawie powszechnie, iż był synem naturalnym cesarza Pawła. Przystojny i dobrze zbudowany mężczyzna, przepędzał życie wśród zabaw i niewiast. Żył nader wystawnie, celował wytwornością ekwipażów, słynął powszechnie jako gracz zawołany, dom zaś jego uważano za dom gier hazardowych. Przed dwoma laty robiono mu w Berlinie wielką i niebezpieczną operację, skutkiem której do stanu małżeńskiego stał się niezdatny i to zapewne było przyczyną, że żona go odjechała (córka dyrektora komor Lange). Mimo tego utrzymywać zaczął pannę Constance, aktorkę francuskiego teatru; czynił to jedynie, aby o nim mówiono, aby się dziwiono wielkim wydatkom na nią łożonym i t. d. Przy takich zbytkach, dochody nie wystarczały; ś. p. cesarz kilkakrotnie kazał spłacać jego długi, spodziewać się należy, że nie mało ich jeszcze zostawił.

Wielka sprawa biskupa płockiego Prażmowskiego na tem się zakończyła, iż dodany mu został koadjutor w osobie ks. Pawłowskiego, biskupa Dutmeńskiego, sufragana warsz; będzie pobierał 1/4 część pensji, to jest 25.000 złp. i rządził dyecezją. Prażmowski żadnym sposobem nie chciał oddalić od siebie swej gospodyni, dając za przyczynę, iż ona jego domem zarządza, ma staranie o jego nadwątlonem zdrowiu itp. ale też i jego koadjutor słynie jako zwolennik płci pięknej, czyli po prostu wielki jest kobieciarz i przesiaduje po handlach winnych. Nie można dokładnie wiedzieć, kto był oskarżycielem biskupa do Rzymu, to tylko pewna, że duchowni, a w tej liczbie i teraźniejszy biskup podlaski Gutkowski, niegdyś kapelan wojskowy w Hiszpanji, człowiek sprośnych wtedy obyczajów, teraz zaś pasterz przestrzegający praw kanonicznych.

Dnia 30 odbył się pogrzeb jenerała Albrechta z wielką wojskową paradą. W Ks. postępował za ciałem aż na cmentarz ewangielicki, przy niesłychanym natłoku widzów różnego stanu, płci i wieku.

Wrzesień. Przy końcu z. m. aresztowano oficera Cieplińskiego z pułku gwardji ross. strzelców pieszych i zabrano wszystkie jakie tylko znaleziono papiery, między niemi znajdowały się wiersze na Krasińskiego. — Okazuje się, iż śledzą autora, gdyż w tych dniach aresztowano kilka osób, wzięto im również papiery, i indagują, kto od kogo dostał owe wiersze. Rozesłano żandarmów w różne strony dla dostawienia nieobecnych, którzy udzielali jedni drugim tego paszkwilu. Szczęściem, że nie chciało mi się przepisywać tej poezji, możebym jej udzielił komu, a tak mógłbym być między czterema murami zamknięty.

Dnia 6 wrócił z głównej kwatery jenerał Fencz, co z sobą przywiózł niewiadomo. W skutek jego powrotu wyprawiono natychmiast sztafetę po Nowosilcowa.

Ciągłe areszta z powodu owych błahych wierszy; konfrontują czas i miejsce udzielania ich wzajemnego. Czyż można zpewnością wiedzieć i pamiętać dzień dostania podobnego świstka? czyż to stanowi jaką epokę w życiu, aby można z wszelką dokładnością powiedzieć, że tego a tego dnia. Jeźli obie osoby nie zgodzą się mniej więcej na czas, zostają ciągle więzione, dodać należy, iż zosobna dają im pytania na piśmie i dopiero z głęboką rozwagą szczegóły te rozbierają wyznaczeni sędziowie.

Dnia 11 przybył Nowosilcow. —Mówią, iż cesarz całą sprawę sądu sejmowego poddał pod roztrząśnienie radzie admin. i zasięga jej zdania, czyli sąd nie przekroczył w czem swej atrybucji itp. Jest to nowa dla nas trwoga, a krytyczne położenie rady.

Dnia 13 rozeszły się wojska z obozu po kilkudniowych manewrach przez całe dni i nocy trwających. Usypana była twierdza, tę zdobywano itp. Ze wszystkich dwunastu pułków linjowych pozostały tu na garnizonie kompanje grenadjerskie i woltyżerskie. Słychać, iż mają być utworzone z nich trzy pułki grenadjerskie. W całem wojsku skasowano kordony u kaszkietów, przez co wielka się zrobiła oszczędność, a żołnierzom ujęło się zachodu w myciu i bieleniu tych kordonów.

Dnia 14 zebrana była rada admin. w przedmiocie wyżej wzmiankowanym, odbyło się jej posiedzenie i dnia następnego. Niewiadomy zupełnie skutek długich narad.

Skutkiem dochodzenia autora paszkwilu na Krasińskiego, wysłano żandarmów po Karola Kunatta, urzędnika Izby obrach. będącego na urlopie w wtwie Augustowskiem. Gdy go pytano zkąd dostał tych wierszy, odpowiedział, że je znalazł — nie dano temu wiary i stawiono go przed W. Ks., który srodze powstał na niego i żądał, aby się przyznał od kogo je dostał. Na co Kunatt: znalazłem je w ogrodzie Krasińskich idąc do biura i na to mam świadków. Badano następnie dwóch wymienionych przez Kunatta, którzy zeznali, iż tenże przyszedłszy do bióra udzielił do czytania wiersze, mówiąc, iż je znalazł w ogrodzie. Stawiony powtórnie przed W. Ks. Kunatt inaczej wcale był przyjęty, podał mu W. Ks. rękę, nazwał go przyjaciem i kazał się koniecznie w twarz pocałować. Wynagradzając W. Ks. za ostre obejście się, umieścił go w swojem przybocznem biórze. Zdaje się, iż nić, po której chciano dociec autora wierszy zupełnie przerwana została; jednakowoż wiele osób jest dotąd aresztowanych.

Jerzy Pusch i Feliks Jarocki, pierwszy urzędnik wydziału górniczego i profesor, drugi prof. zoologji w Uniwersytecie udali się do Berlina na wielkie posiedzenie Towarzystwa niemieckich badaczy natury i lekarzy pod prezydencją sławnego Humboldta. Pierwszy z nich czytał rozprawę o Karpatach. Jak słychać, Jarocki miał otrzymać wezwanie od Towarzystwa, aby zaprosił na ten zjazd uczonych tutejszych prof. pracujących w tymże zawodzie ale zataił to pismo, ogłosił tylko, że jest wezwany i udał się niezwłocznie chlubiąc się z wyboru. W istocie dziwić się należy, dlaczego mieliby być pominięci głębszej nauki, gruntowniej oświeceni i znani w naukowym świecie: Skrodzki, Kitajewski, Szubert i wielu innych.

Dnia 21 arcybiskup Jan Paweł Paweża Woronicz odprawił długo zwlekany, uroczysty ingress, od kościoła św. Krzyża do katedry. Miał homilją, udzielił odpustu, nakoniec zakończył ten dzień dając wystawny obiad.

Dnia 23 około północy, po dwunastodniowych okropnych cierpieniach na kamień zakończył życie, nieodżałowanej pamięci stryj mój, opiekun całej rodziny i dobrodziej rzetelny Józef Lipiński, radca kom. rzdwej Wyz. i Ośw., wizytator jeneralny szkół Król. Pols., kawaler orderu św. Stanisława 2-giej klasy, mając lat 64 przeszło.

Jako synowiec J. Lipińskiego miło mi jest skreślić w krótkości obraz czynów pełnych ludzkości i rzetelnych cnót chrześcijańskich zmarłego. Najczystsza prawda kieruje piórem mojem, nie głoszę tego światu, piszę jedynie dla siebie, gdyż miło mi jest rozpamiętywać żywot człowieka poświęconego usługom ojczyzny i ludzkości. Lecz za dalekobym się posunął i przeszedłbym zakres moich notatek, wspomnę przeto o tem czegom był świadkiem od początku roku 1815 r. W tym roku przybywszy do Warszawy powierzony zostałem opiece stryja; w Lyceum pobierałem nauki i lekcje prywatne jego kosztem, przytem ciągłej jego doznawałem pomocy, której z wzorową cierpliwością i zawsze chętnie mi udzielał. W lat kilka przybył mój brat Karol i tych samych, jeźli nie większych jeszcze doświadczał dobrodziejstw. Był on jeden z pierwszych założycieli Towarzystwa Dobroczynności; z zupełnem poświęceniem oddał się usługom cierpiącej ludzkości—nie przesadzam, gdy powiem, iż połowę swej pensji i szczupłych dochodów ubogim oddawał. Jeźli nie był w stanie udzielić większego datku, czynił więcej, gdyż dawał zdrowe rady, udzielał przestróg, pocieszał i dlatego we wszystkich dolegliwościach do niego się udawano; chorych umieszczał w szpitalach, nawiedzał matki obarczone dziatkami, niosąc im skuteczną pomoc itd. zgoła był rzetelnym opiekunem ubogich. Te jego cnoty zjednały mu powszechny szacunek — ledwie odgłos ciężkiej jego choroby rozbiegł się po mieście, już drzwi jego mieszkania nie zamykały się przed troskliwymi przyjaciółmi, którzy umieli go oceniać, przed ubogimi i nieszczęśliwymi, ktorzy ujrzeli się zagrożeni najlepszego ojca utratą. Był to rozdzierający widok być świadkiem codzień gasnących sił jego, lecz przy zachowaniu zupełnej przytomności umysłu rozmawiającego o wieczności, błogosławiącego rodzinę, dając nam zbawienne przestrogi. Najznakomitsze osoby nawiedzały gasnącego, czule z nimi rozmawiał i ostatecznie żegnał. Niejeden padłszy na kolana prosił o błogosławieństwo i ręce jego całował. Tyle miał mocy duszy, iż gdy go bóle napadały, zamiast wydawania jęków modły zasyłał i prosił przytomnych, aby także się modlili. Byliśmy świadkami jak ostatnie obrzędy religijne z widoczną rozkoszą dopełniał, nie przepomniał i o tem, aby w chwili konania dano mu gromnicę w rękę. — O nim to właściwie powiedzieć można: zmarł, lecz długo żyć będzie.

Dnia 25 odbył się pogrzeb ś. p. stryja mojego; był nader liczny i okazały dla znacznej liczby znakomitych osób obecnych na tym obrzędzie. Po nabożeństwie w kościele św. Krzyża postępowali za ciałem aż na cmentarz świętokrzyski ks. Adam Czartoryski, minister ośw. Grabowski, kilku senatorów i radców stanu, wszyscy pieszo i z odkrytemi głowami. Szanowny prezes rady admin. Walenty Sobolewski dla słabości nóg jechał w pojeździe, jakoteż i wiele pierwszych dam naszych. Ostatnia ta posługa dowodem jest najlepszym, ile był poważanym, ile ceniono jego cnoty i zasługi.

Dnia 29 odbyte zostało nabożeństwo żałobne w kościele arcykatedralnym, kosztem instytutów naukowych zostających w stolicy za duszę ś. p. Lipińskiego, jako wizytatora jlnego tychże instytutów. Oprócz młodzieży szkolnej znajdowało się wielu urzędników, uczonych i innych znakomitych osób i obywateli. Celebrował biskup płocki Prażmowski, muzykę żałobną wykonała z przybranem licznem gronem amatorów szkoła główna muzyki pod przewodnictwem swego rektora Elsnera. Po kondukcie żałobnym zabrał głos radca stanu Marcin Zaleski, spółpracownik i przyjaciel zmarłego. Pięknie i czule przemówił, a że to, co powiedział było istotną prawdą, miło mi jest niektóre miejsca przytoczyć. — «Straciliśmy z pośród siebie męża, którego cnoty długo będą dla nas wzorem, a pamięć pociechą..... Polecając ducha Bogu, od którego wyszedł, z którym żył i do którego wrócił, rzućmy za nim wzrok ostatni na pasmo dni dojrzałych w zasługę, dla niego szczęśliwie dla nas żałośnie przecięte i przypatrzmy się raz jeszcze widokowi życia cnotliwego, który po chwili zniknie już z oczu, a w sercach tylko zostanie.» — Wezwany Lipiński na członka dyrekcji wychowania, osnował i doprowadził do skutku najważniejsze w wydziale edukacyjnym urządzenia, położył zasady głównych instytucyj; a za zupełnem rozwinięciem komisji Rz. W. R. i O., mianowany wizytatorem jlnym szkół krajowych, sprawował z pożytkiem dla kraju, z chwałą dla siebie ten urząd... Będąc najdawniejszym władzy edukacyjnej urzędnikiem i mając prawo do najpierwszych w niej stopni, nie poczytał się za upośledzonego, że mu mniejsze napozór zostawiono przedmioty... Obok prac urzędowych, obok chrześćjańskich ćwiczeń, których nikt z mocniejszem uczuciem, z żywością wiary i rzewliwością nie spełniał, wytrzymał srogą boleść kamienia..... tę próbę dla udoskonalenia swojego zesłaną, jak przyjął i jak znosił widzieliśmy wszyscy, choroby i zgonu świadkowie... Z pogodną twarzą, z spokojem serca przyjmował całą natarczywość dręczącej choroby; z uśmiechem cnoty spojrzał na zjawisko śmierci. Nie jest on dla nas stracony... zniknęło co w nim było znikomem... żyje co jest wiecznem. Żyje on nietylko w przybytku błogosławionych podług nauki wiary, lecz żyje wśród nas pamięcią naszą i przyjaźnią zatrzymany. Czyny jego w rozpamiętywaniu naszem wzbudzą jego przytomność, a obraz jego zjawiać się będzie w każdym pomyśle cnotliwym, w każdem szlachetnem uczuciu.

Październik. Dnia 1 odbyło się otwarcie kursów szkoły przygotowawczej instytutu politechnicznego, mieszczącej się w pałacu jenerała Krasińskiego; otwarcie to było uroczystsze od poprzednich, znajdował się bowiem minister oświecenia wraz ze wszystkimi członkami komisji, książe Czartoryski itd. Zagaił posiedzenie prezes rady politech. Ludwik Plater, poczem zdał sprawę z czynności rocznych w duchu technicznym dyrektor tejże szkoły Kajetan Garbiński, prof. matematyki w uniwersytecie. Naostatek przemówił słów kilka minister wyrażając, iż komisja rzdwa ośw. ma w swej pieczy przyszły instytut politech., stara się o rychłe onego rozwinięcie, w czem spodziewa się, iż inne władze rządowe będą pomocne, aby zakład tak dla kraju użyteczny mógł być do skutku doprowadzony. — Potrzeba bowiem wiedzieć, że instytucja ta idąca w pomoc rozwijaniu się przemysłu narodowego, wielu miała przeciwników; utrzymywano, iż to jest jeszcze zawczesne dla naszego kraju, że koszta na ten zakład są ogromne; lecz co najwięcej zadziwia, to że ks. Lubecki, minister skarbu, ten wielki nasz przedsiębiorca fabryczny był nawet temu przeciwny. Zdaje się jednak, że teraz rzecz ta stoi na dobrej drodze, że przyszłe etaty rozwinięcia instytutu będą przyjęte i podane do zatwierdzenia N. Panu. Possesja zwana księcia ex-podkomorzego na Nowym Świecie (teraz własność radcy stanu Szaniawskiego) jest podana do nabycia, jako w istocie miejsce najdogodniejsze na wystawienie przyszłych gmachów instytutowych. Ugodzono się z właścicielem za 162.000 złp.

Dnia 7 oznaczono przed domem Towarzystwa Przyjaciół Nauk miejsce na pomnik dla Kopernika. Lubo posąg dopiero za rok oddany będzie, pośpieszono z tem, ażeby przez zabiegi różnych osób miejsce zmiany nie doznało. Com słyszał z ust Niemcewicza, prezesa Tow. P. N. opowiem. T. P. N. doniosło było cesarzowi, iż zamyśla przed gmachem swoim wznieść ów pomnik, jako w miejscu najwłaściwszem, najdogodniejszem i służącem za ozdobę miastu. Nadto, że sam Thorwaldsen uznał ten plac za najwłaściwszy i kiedy mu przedstawiano dziedziniec Kazimierzowski wzdragał się

umieścić tamże swe dzieło; z powodu nierównie niższego położenia od ulicy, pomnik źleby się wydał, zwłaszcza w tak wielkiem przestworzu. Minister oświecenia nie zważając na te zarzuty, a chcąc przy swojem postawić, pisał do ministra sekretarza stanu, aby starał się od cesarza otrzymać polecenie wystawienia pomnika na dziedzińcu kazim. jako pośród przybytku nauk. Oba te przełożenia oddał cesarz zupełnie do decyzji W. Ks. Uwiadomiony o tem Niemcewicz uprosił barona Mohrenheima, aby przedstawił ten interes w chwili dobrego humoru W. Ks, i poparł z swojej strony. Zgodził się W. Ks. na zdanie artysty, o czem w pochlebnych wyrazach kazał zawiadomić na piśmie Tow. Przyj. Nauk.

Dowiadujemy się, iż gazeta le Constitutionel umieściła dokładnie i z wielkiemi szczegółami opisanie posiedzeń sądu sejmowego. Jest wzmianka o przymówieniu się Plichty, że widziano łzy nawet w oczach żandarmów itd. Jenerał Krasiński jest w całem świojem świetle wystawiony, piszący wyraża: ze 40 głosujących, jeden się tylko znalazł, który był przeciwnego zdania. Któż nim był? czyż damy temu wiarę? Oto ten, który przed niewielu laty zasłużył sobie na piękne imię, walczył z chwałą itd. słowem jest nim jenerał Krasiński.

W tych dniach wrócili z Wiednia: Jener. Trębicki, pułkownik Szembek i kilkunastu innych officerów różnej broni. Jeździli oni w imieniu W. Ks., który przez Cesarza był zaproszony na manewra wojskowe. Deputowani ci nader uprzejmie byli przyjęci.

Dnia 25 przybył z głównej kwatery, pułkownik Hauke i przywiózł wiadomość o poddaniu się Warny. Został on mianowany Fligel-adjutantem Naj. Pana. Nasi officerowie odznaczają się przy armii, są nader dobrze uważani — kapit. Szymanowski i Chrzanowski ozdobieni zostali krzyżami ross.

Dnia 28 widziano Turka na paradzie, jest to jeniec wojenny, z regularnego wojska, młodzieniec ośmnastoletni, właściwie dobosz. Kazał mu W. Ks, bębnić, poczem bronią robił bardzo zręcznie, wszystko na sposób francuzki. Ubrany był w kurtkę kolorową, i szerokie szarawary, poniżej kolan spadające, od łydek do kostek miał na kształt kamaszów zapiętych na guziczki, za szerokim pasem tkwiły dwa pistolety, pałasz na tęblaku i ładownica po drugiej stronie, na głowie zaś krymka sukienna kolorowa z długim i szerokim kutasem.

Rada administracyjna mając sobie powierzone do przejrzenia czynności sądu sejmowego, miała nadto podanych kilka zawiłych pytań do rozwiązania, tyczących się tej wielkiej sprawy. Na wielu naradach, oddano do zredagowania opinii Ks. Lubeckiemu min. skarbu, który w tych dniach złożył radzie swą pracę, wyłuszczając: iż rada nie znalazła nic przeciw postępowaniu sądu sejmowego, że nareszcie jeźli tenże sąd w czem wykroczył, to było raczej skutkiem prawa, i przepisanych formalności, które mu podano za normę, i t. p., a których się sąd ściśle trzymał.

Listopad. W końcu zeszł. m. zmarł jeden z uwięzionych za przestępstwa polityczne, Ks. Dembek. Był on synem włościanina z Kaszub; wystąpiwszy z klasztoru Karmelitów, został proboszczem w Grojcu, następnie był przełożonym nad drukarnią rządową. Osobliwszą losu koleją, zakończył życie u Karmelitów, których mury od lat kilku zamieniły się na Bastylją polską. Drugą większą osobliwością jest ta, iż zostawił w gotowiźnie przeszło trzy kroć sto tysięcy zł. pols.

Umieszczam dosłownie rozkaz dzienny, wydany przez W. Ks. do wojska pols.: «Pomyślność oręża Naj. ces. i króla poddawszy Warnę w moc jego d. 11 paźdz. J. C. K. mość wspomniał, iż cztery blisko upłynęły wieki, jak król Władysław III, jeden z poprzedników jego, poległ w pamiętnej walce przeciw Turkom, pod murami tego miasta stoczonej. Chcąc uczcić cienie młodego bohatera świetnem pomszczeniem, J. C. mość panujący Król polski rozkazał, aby 12 dział, z pomiędzy tych, które w tej twierdzy wziętemi były, zaprowadzone do Warszawy i tam na pamiątkę stanowczego upadku Warny, zachowane zostały. Głosząc niniejszym rozkazem znakomity ten dowód ojcowskiej przychylności Naj. P. dla Polaków poddanych swoich, nie wątpię bynajmniej, znając duch jakim wojsko polskie jest ożywione, iż będzie umiało cenić wysoką tę łaskę, do której odtąd tyle świetnych przywiązywać się ma pamiątek i pewien jestem, iż nowe będzie z nich czerpać powody stania się jej godnym przez niezłomną wierność i poświęcenie się bez granic». Dnia 28 paździer. w głównej kwaterze.

Dnia 3 w obecności prezesa Tow. P. N. i wielu członków, odbył się akt założenia fundamentu na posąg Kopernika. Spisany został na pargaminie następujący napis: «Za panowania Mikołaja I, cesarza wszech Ros., król. pols., Mikołajowi Kopernikowi, ziomkowi swemu, który pierwszy ciał niebieskich ruch prawdziwie oznaczył, a przez to odkrycie i Polską ojczyznę swoją wiekopomną ściągnął sławę, wdzięczni Polacy posąg ten ze śpiżu kosztem własnym wynieśli, staraniem Tow. kr. warsz. P. N., pod prezydencyą Juliana Ursyna Niemcewicza. Pierwszą myśl powziął i najhojniej do dzieła tego przyczynił się Stan. Staszic, poprzedni prezes Tow. kr. war. P. N. Posąg ukształcony p. Alberta Thorwaldsen, ulany w Warszawie przez Jana Gregoire. Fundamenta wyniesione d. 3 listopada 1828 r.» To pismo przez obecnych członków podpisane, umieszczone zostało w słoju szklannym, a z niem: lista imienna członków Tow. P. N. z r. 1828, rozprawa Śniadeckiego o Koperniku w języku polskim, fran. i angiel., tudzież wiele medali i pieniędzy z różnych epok. Srebrną kielnią zaprawiać mając pierwszą cegłę, wyrzekł prezes te słowa: «Oby ten pomnik przetrwał wszelkie burze następnych wieków, a nawet fizyczne wstrząśnienia świata».

Turek, o którym wyżej wzmiankowałem, jest synem janczara; polubił go W. Ks. dał mu mieszkanie w Belwederze, i wszelkie życia wygody, z woli W. Ks. zrzucił swój ubiór i nosi się po naszemu, przydany mu jest za mentora stary grek, który go oprowadza po mieście. Ów Muzułman z upodobaniem pije wino, podobają mu się nasze zwyczaje, a nadewszystko, że kobiety ukazują się z odsłonionemi twarzami.

D. 7 gazety nasze umieściły następujący reskrypt cesarski do hr. Woronców, dowódzcy dokonanego oblężenia Warny: «Oddawszy należną daninę chwały i wdzięczności Bogu, który wspiera słuszną sprawę, i który uwieńczył nową pomyślnością oręż ross., chcę uświetnić pamięć mojego dostojnego poprzednika, który stracił wszystko razem, zwycięztwo i życie, oprócz sławy, pod murami tej samej Warny, upokorzonej dziś przez nas. Tu poległ, pod znakiem Chrystusa, nieustraszony syn Jagiellonów, Władysław, król pols. Niewiadome jest miejsce gdzie zwłoki jego spoczęły; lecz chcę, aby w stolicy samejże Polski wzniesionym był pomnik godny jego pamięci. Przeznaczam na to 12 dział tureckich, z tych któreśmy w Warnie zdobyli; daruję je Werszawie, poruczając wam niezwłoczne ich wyprawienie do tej stolicy. Umieszczone będą, stosownie do rozkazu J. Cesarzewi-

czowskiej mości, w miejscu najprzyzwoitszem, ku czci bohatera i walecznych wojowników ros., których zwycięztwo pomściło się śmierci jego».

D. 9 przyleciał kuryer z Petersburga z smutną wiadomością o zgonie cesarzowej matki. Natychmiast zamknięto teatr, zabroniono wszelkich widowisk i zabaw publicznych.

D. 10 przybył z pod Warny jener. dyw. sekretarz stanu Stef. Grabowski. Tegoż dnia w nocy wyjechał W. Ks. do Petersburga na trzy tygodnie. Mocno uczuł stratę matki, której był ulubieńcem.

Różne tu wieści chodzą o Lubeckim, to pewna, że W. Ks. jest mocno na niego zagniewany, dał mu to uczuć przywoławszy do siebie; cała rzecz idzie o daną przez niego opiniją za sądem sejmowym. Ciekawiśmy co z tego wyniknie; odwołać ministra skarbu, jest to zadać wielki cios interesom finansowym, a nawet przyprawić kraj o klęskę, przy tylu rozpoczętych zakładach i przedsięwzięciach, które on utworzył, kieruje niemi, a których skutek może być bardzo wątpliwy w rękach nowego ministra.

C. d. n.

PRZEGLĄD LITERACKI.

O nauczaniu historji z powodu zamierzonéj reformy szkół średnich w Galicji. Napisał Tadeusz Korzon. Warszawa 1882.

W broszurze pod powyższym tytułem wydanéj p. Korzon ocenia krytycznie zasady, jakie prof. Miklaszewski rozwinął w szczegółowym referacie „o nauczaniu historji powszechnéj w gimnazjum wyższém,“ dołączonym do Sprawozdania Komisji w sprawie reformy szkół średnich wydelegowanéj przez Akademją Umiejętności. Wykazuje tu p. K. dosyć szczegółowo błędy programu przedstawionego, wytykając szczególniéj pomijanie dziejów wewnętrznych, instytucyj, literatury, przedewszystkiem zaś wysunięcie na piérwszy plan w historji średniowiecznéj żywotów świętych i błogosławionych, a nawet papiéży, z zaniedbaniem rzeczy ważnych. Oddzielanie dziejów Polski i dziejów Monarchji Austrjackiéj od dziejów powszechnych nie uznaje także p. Korzon za dobre i potrzebne.

Dziewczęce losy. Powieść dla młodych dziewcząt przez Zofję Verenę. Przekład Anastazji Dzieduszyckiéj. Warszawa. Nakład F. Hosicka 1882.

Działalność p. Dzieduszyckiéj na polu wychowania niewieściego tak w praktycznym jak i teoretycznym kierunku jest nadto znaną, abyśmy ją tu mieli podnosić. Wiedząc, że niedosyć jest powiedzieć: „czytajcie!“, ale że trzeba wskazać *co* i podać nawet do ręki, stara się przez przyswojenie dobrych dzieł literatur obcych zastąpić brak oryginalnych polskich, do których napisania sama się nie rwie, choć ma siły potemu.

W powieści, któréj tytuł przytoczyliśmy przedstawione są losy pięciu dziéwcząt, reprezentujących trzy klasy majątkowe: jedna z nich jest bardzo zamożną, dwie średnio, a dwie same na siebie pracować muszą. Spotkawszy się razem u ciotki p. Roden, dają w zetknięciu ze sobą obraz najrozmaitszych skłonności, upodobań i kaprysów, które bądź to wychowanie, bądź otoczenie i usposobienie w nich obudziły. Znajdą tu więc piękne czytelniczki zamiast suchych morałów i kazań, rozmowy żywe o wszystkich kwestjach życia kobiécego, które w nich niejedno može uprzedzenie i przesąd zabiją; znajdą zwycięztwo pracy nad bezmyślném pragnieniem uciech, cnoty nad kaprysem, a przeczytawszy całą książkę, któréj treści nie podajemy, aby ich ciekawości nie osłabiać, wyniosą podniosłe wrażenie, niejedną naukę i zadowolenie zupełne.

Dlatego ośmielamy się gorąco polecić tę książeczkę wszystkim matkom i opiekunkom, które chcą, aby ich córki i kuzynki nie pojmowały życia jednostronnie, nie były teraz „gąskami“ a późniéj nawet może „gęsiami,“ choćby uczonymi. Powieść powyższa jest pewném, choć nie gwałtowném i słodkiém antidotum. *rz:*

PRZEGLĄD ARTYSTYCZNY.

Z teatru. Gęsi i Gąski, komedja w 5ciu aktach przez Michała Bałuckiego.

Tytuł tej komedji ulubionego komedjopisarza niezupełnie odpowiada jej treści. Idący do teatru sądzą, że znajdą całą galerję poczciwych lecz śmiesznych i naiwnych typów kobiecych, dowiadują się zaś od autora nowej definicji „Gęsi,“ jaka nie zgada się z ogólnem pojęciem o tym typie. Autor widzi gęś i w intrygantce i w rozpustnej kobiecie, zapominając, że gęsi nigdy nie budzą wstrętu lub pogardy, a tylko pobłażliwy i szczery uśmiech wywołują.

W całej komedji jest jedna tylko gąska Joasia, córka państwa Kłopotkiewiczów, dzierżawców małego majątku. Kocha się w niej Marzycki, literat i professor. Joasia mu sprzyja, rodzice na ślub pozwalają. Na nieszczęście przybywa z Paryża ciocia Belcia, kobieta bogata, egoistka, intrygantka, wierząca tylko w Paryż i ród „Rzempielińskich.“ Niewiadomość „kto rodzi“ Marzyckiego zraża ją do niego, a wyraźne z niej żarty ze strony jego przyjaciela Hulatyńskiego prowadzą ją do starania się o rozerwanie projektowanego małżeństwa. W samą porę przyjeżdza Pantaleon Durnicki, polak wiedeńskiego wyrobu, syn jej przyjaciółki, karykatura fizyczna i umysłowa. Ten ma posiąść Joasię, która pod wpływem ciotki wszczyna sprzeczkę z Marzyckim. Poróżnienie pomiędzy kochankami łagodzi przyjaciółka Joasi Marja, jedyna przedstawicielka płci pięknej nieobdarzona przez autora nazwą gęsi. Pogadanki poufne Marji z Marzyckim, rozbudzają zazdrość w Joasi, która dopiero teraz poznaje, że kocha Marzyckiego, a zrzuciwszy z siebie pióra gęsie staje się kobietą. Wszystko pięknie się wyjaśnia, a nawet Durnicki pomaga do pomyślnego rozwiązania przez swą ucieczkę z młodą doktorową, lafiryndą bawiącą w domu Kłopotkiewiczów. Halatyński zakochany oddawna w Marji otrzymuje zezwolenie jej ojca, poważnego profesora Ciepiszewskiego. Kończy komedję wejście doktora, który dowiedziawszy się o ucieczce żony pociesza się tem, że ona powróci, bo już raz tak zrobiła, lecz wytrzymać bez niego nie mogła.

Taka jest treść treści najnowszej komedji Bałuckiego. Poczciwe postacie Kłopotkiewiczów, profesora, obu par kochanków — sympatycznie usposabiają widza dla sztuki, a spora garść rozrzuconych dowcipów wraz z komizmem ujemnych postaci wznieca wesołość i zapewnia komedji powodzenie.

Główny zarzut, jaki bezwarunkowo komedję tę spotkać wszędzie musi jest zbytnia jej obszerność w stosunku do treści. Temat obrobiony przez Bałuckiego wystarcza zaledwie na trzyaktówkę, a nie na pięć sporych aktów. W skutek tego występują ciągle na scenie osobistości, bez których by się obyło, gdyż nie wpływają całkiem na rozwój akcji. Taka n. p. doktorowa w pierwszych trzech a przynajmniej dwóch aktach jest zbyteczną. Do kategorji zbytecznych również i wiele scen policzyćby należało, które same w sobie są dobre, humorystyczne, ale niczem nie podpierają akcji; są to tła zabierające zbyt wiele miejsca w obrazie, odrywające od myśli przewodniej. Myślimy tu np. o scenie golenia w akcie pierwszym, o monologu doktorowej w hamaku itd. Usunąwszy to wszystko, ścieśniwszy rozproszoną akcję, nadałoby się „Gęsiom“ więcej jednolitości i wyrazistości.

Podnoszony przeciw Gęsiom zarzut jakoby typy były nieprawdziwe — niema według nas podstawy. Nie należy zapominać, że taki np. Kłopotkiewicz nie jest szlachcicem zamożnym, który odebrał wyższe wykształcenie i zdobył sobie ogładę na bruku miejskim, ale jestto poczciwy brat-łata, biedny dzierżawca ciężko pracujący na kawałek chleba, tem się różniący ekonoma, że ma herb po przodkach i pracuje dla siebie. Nie był on może nigdy w Warszawie, ani w Krakowie, a więc miał mniej nawet od ekonoma sposobności rozejrzeć się po świecie. Tamten z pańskiemi interesami jeździ daleko, ten co najwyżej pojedzie do starostwa w sprawie podatków. Takich dzierżawców sami znamy w miejscach oddalonych od ognisk handlu, oświaty, o trzydzieści mil od najbliższej stacji kolei. Żona jego to typ, który na każdym kroku spotykać się jeszcze daje. Hulatyński także jest dobry nasz znajomy, tylko zanadto mięszający się do spraw cudzych w cudzym domu. Ciocia Belcia jest poniekąd anachronizmem — było dla niej miejsce przed laty trzydziestu, czterdziestu. Doktorowa bardzo niesympatyczna, ale mimo to prawdziwa, równie jak jej małżonek. Typ starego professora dobrze pochwycony, młodego mniej szczęśliwie.

Lubiący rzeczy niemoralne zazwyczaj gorszą się nieprzyzwoitościami, ztąd i w Gęsiach starają się je wyszukiwać. Tej pruderji jednak nie podzielamy, jak również zapatrywania się autora na sferę wiadomości odpowiednich młodej dziewczynie. To jest właściwie zgadzamy się z nim, ale nie widzimy potrzeby, aby taka panna Marja z wiedzą swoją występowała. Czyż autor sądzi, że dzisiejsza młoda dziewczyna wychodząca za mąż myśli o zabawie z mężem lalkami? To czego autor chce — już jest, ale mówić o tem pannie tak jak o deszczu i pogodzie nie jest ani smacznem, ani poetycznem. Rozgrząd

to może tych, co silnych środków do rozgrzania potrzebują — ale oziębi takich co dużo ciepła w sobie posiadają.

„Gęsi“ odegrano bardzo starannie. Na wyszczególnienie zasługują pp. Frenkiel, (Kłopotkiewicz) p. Wojdałowicz (professor) i p. Sobiesław (Hulatyński). Pan Arwin lubo karykaturalnie przedstawił Durnickiego był bardzo dobry i przyczynił się do ożywienia akcji. Pani Wojnowska z natury rzeczy była nieodpowiednią na ciocię Belcię — trudno bowiem wierzyć w sztukę, mając przed oczyma najrzeczywistszą rzeczywistość. Gra jej jednak była poprawna, równie jak panny Pysznikównej, zwłaszcza w akcie pierwszym. Wogóle popisowych ról w „Gęsiach“ niema wcale. B.

Ruch muzyczny.

(*Wieczorek Tow. muzycznego. Koncert p. Franciszka Bylickiego*).

Na wieczorku Towarzystwa muzycznego mieliśmy w pierwszej linji sposobność wysłuchania jednego z najnowszych utworów Saint Saënsa, septetu na kwintet smyczkowy, fortepian i trąbkę. Dzieło w całem znaczeniu tego wyrazu piękne. Pełno w niem życia i świeżości. Swoboda w władaniu formami kontrapunktycznemi ogromna, przytem takie to wszystko jasne, przejrzyste, niewymuszone, iż chętnie słuchałoby się go po raz drugi i trzeci. Dziwna rzecz, iż publiczności naszej nie bardzo do smaku przypadła kompozycja francuskiego mistrza, przyjęła ją trochę obojętnie, chociaż już samo piękne jej wykonanie na rzęsisty zasłużyło oklask. Młody barytonista pan R. posiada głos bardzo piękny. Trochę mniej afektacji w deklamacji, trochę mniej portamentów w samym śpiewie, a i troszeczkę piękniejsze wymawianie niemieckiego tekstu uczyniłyby go nam jeszcze milszym. Pieśni Gumberta i Weinzierla nie bardzo nam się podobały, chociaż druga więcej ma wartości muzykalnej od pierwszej. Nad program zaśpiewany utwór nie kwalifikuje się zdaniem naszem na estradę koncertową. Pan Sandoz, wiolonczelista, którego po raz ostatni mieliśmy sposobność słyszeć w zeszłym sezonie, wielkie od tego czasu uczynił postępy. Szlachetny i pełny ton, porządne frazowanie, czystość intonacji i pewną lekkość i swobodę w traktowaniu swego instrumentu, podziwialiśmy tym razem z prawdziwą przyjemnością. Ładny walc Żeleńskiego i transkrypcję pieśni Pergolesego „Tre giorni“ odegrał ten amator artystycznie. Dwie uczennice szkoły towarzystwa z oddziału pana Barabasza popisywały się odegraniem sonaty na dwa fortepiany Hansa i Hubera. Chociaż dosyć w tej kompozycji ładnych melodyjnych pomysłów, niema w niej jednak nic takiego, coby upoważniało do nazwania jej sonatą. Brak jej formy a i przeprowadzenie tematów bardzo słabe.

Wykonanie czyściutkie i staranne przynosi zaszczyt nauczycielowi obu panien, panu Wiktorowi Barabaszowi, którego nauczycielska działalność w naszem mieście coraz widoczniej się rozwija i piękne wykazuje rezultaty.

„Chór pielgrzymów“ Kückena należy do utworów zaliczanych w Niemczech do tak zwanej „Liedertafelmusik,“ a wykonanie jego wiele pozostawiało do życzenia. Nieczysta i chwiejna intonacja, to już chyba chroniczna choroba naszych chórów męskich. A jednak nie potrzeba cudu do jej wyleczenia. Potrzeba jedynie tylko szkoły chóru—ale umiejętnej. Podobno w towarzystwie muzycznem krakowskiem jest kurs nauki śpiewu chórowego. Wypadałoby tam już raz uczyć zacząć....

Koncert pana Franciszka Bylickiego wypadł z wyjątkiem dwóch nie zbyt udatnych numerów programu, bardzo pięknie. Do owych nieudanych wypada przedewszystkiem zaliczyć śpiew panny Radolińskiej, która ani głosem, ani umiejętnością śpiewu nie zdołała nikogo zainteresować. Takie to wszystko mdłe i niesmaczne, że aż... przykro słuchać.

Sądzimy, że można było znaleźć lepszą kompozycję na klarnet z towarzyszeniem orkiestry, jak warjacje Labitzkiego. Pisali na ten instrument Mozart i Weber, rzeczy piękne a w programie obejmującym dzieła takie jak koncert Beethowena i septet Saint Saënsa nie bardzo właściwie umieszczono Labitzkiego. Przyznać jednak należy panom klarnecistom, iż z zadania swego wywiązali się bardzo dobrze.

Co do gry samego koncertanta to wyznać musimy, iż pod każdym względem przeszła nasze oczekiwania znaliśmy go oddawna, jako dobrego pianistę, tym razem jednak poznaliśmy w nim wybornego skończonego artystę, który wykonaniem koncertu Beethovena *wszędzie* zasłużone zdobyć musi oklaski. Prócz koncertu odegrał pan Bylicki „Impromptu“ Chopina, dwa mazurki Żeleńskiego i nadzwyczaj efektowną tarantellę Moszkowskiego, którą też na żądanie publiczności powtórzył. Orkiestra miejska dowiodła swej żywotności zarówno wykonaniem uwertury. Z Freischutza, jak i akompaniamentem do koncertu Beethowena, życzyć nam zatem wypada, ażeby miasto nasze zainteresowało się jak najgoręcej tą młodą instytucją, a podparłszy ją finansowo, umożliwiło zdolnemu jej kierownikowi p. Wrońskiemu doskonalenie artystycznych jej produkcyj.

Jan Gall.

DROBNE WIADOMOŚCI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

Literackie i naukowe.

—*Za chlebem* (Nach Brod) *H. Sienkiewicza* drukuje *Slavische Rundschau* w przekładzie Juljusza Meixnera.

—„*Biblioteka Warszawska*“ zamieszcza treściwe zestawienie „Projektów reformy gimnazjów galicyjskich.“

—„*Pani Modrzejewska.*“ Pod tym tytułem znajdujemy w angielskiem czasopiśmie „The temple bor Magazin“ artykuł omawiający we wstępie przedmiotowo i oryginalnie sztukę dramatyczną polską. Polakom przy tej sposobności niejedno miłe i pochlebne dostało się słówko.

—*Mów Riegera* sławnego przywódcy Czechów pojawił się zeszyt pierwszy nakładem księgarni Ottona w Pradze.

— Na konkurs Kurjera Codziennego nadesłało swe prace 84-ch nowellistów (?). Strach!!

— P. *Wojciech Dzieduszycki* drukuje w Bibliotece Warsz. studjum: Moraliści XVII. wieku.

— „Świetne partje“ Sewera zostały po raz pierwszy przedstawione w Warszawie. Przyjęcie krytyki chłodne.

— *M. Bałucki* pisze komedję: Dom otwarty.

— Nowelle *Zygmunta Sarneckiego* wyszły nakładem drukarni związkowej w Krakowie.

— Mowa posła *Romanowicza* w sprawie indemnizacyjnej wyszła w osobnej odbitce. Skład główny w księgarni K. Bartoszewicza. Cena 20 ct.

— Nakładem księgarni K. Bartoszewicza wyszły: „Sprawozdania literackie.“

— Nakładem tejże księgarni wyszła broszura *Romana Zawilińskiego*: Z etnografji krajowej.

— Czwarty i ostatni tom dzieł *Kochanowskiego* w wydaniu K. Bartoszewicza ukaże się w tym tygodniu. Dodanym będzie do niego życiorys, facsimile i portret poety według pomnika w Zwoleniu. Prenumerata (2 złr. 40 ct., w oprawie 3 złr. 75 ct.) ustaje z dniem pierwszym grudnia.

Z dziedziny malarstwa rzeźby, muzyki, teatru i architektury.

—„*Slavische Rundschau*“ dodatek do nowo powstałego we Wiedniu pisma p. t. „Reform“ omawia w Nrze 2 portrety Pochwalskiego i Koniuszki, Ajdukiewicza „Manewry“ i H. Lipińskiego „Niedzielę palmową“ i „Jesień“ i oddaje zwłaszcza Pochwalskiemu i Ajdukiewiczowi wielkie pochwały.

—*Przyjaciel sztuki kościelnej.* Pod tym tytułem zacznie wychodzić od Nowego Roku 1883 w Krakowie pismo nakładem Towarzystwa św. Łukasza, które oprócz rubryk sprawozdawczych z czynności wydziału tego Tow. „rozpowszechniać będzie w kierunku teoretycznym i praktycznym wiadomości ze sztuki kościelnéj.“ Numera półarkuszowe będą zawierały podług okoliczności i illustracje drzeworytnicze.

— W *Pompei* wykopano znowu małą szafę zawierającą 6 bronzowych statuetek, a mianowicie: Apollina z lutnią, Merkurego, Herkulesa, Eskulapa i dwa bożki domowe. Lampy bronzowe, które się niegdyś przed tą szafką paliły, znaleziono na właściwem miejscu.

— *Gustaw Doré* kończy pomnik Aleksandra Dumasa, mający stać na placu Malesherbes.

— *M. Woolner* pracuje nad biustem Gladstonea zamówionym przez City Londynu.

—Współpracownik nasz, znany kompozytor p. *Jan Gall* został mianowany dyrektorem Towarzystwa muzycznego w Erfurcie.

— *Alfred Woltman* i *K. Woermann* wydają w Lipsku „Historję malarstwa.“ Dotąd wyszło 12 zeszytów — cena każdego zeszytu 3 Marki. Nakład E. A. Seemanna.

— „Bohaterki poezji polskiej“ — taki jest tytuł nowej publikacji Lewenthala. Są to rysunki *Andriollego* przedstawiające bohaterki poematów: Mickiewicza, Słowackiego, Goszczyńskiego, Lenartowicza i Malczewskiego.

— Żmurko pracuje nad nowym obrazem: Messalina na Monte Pincio.

— Na wystawę krak. Tow. Sztuk Pięknych przybyły wczoraj obrazy: *Fałata* (dziewczyna w natur. wielkości, akwarella). *Pochwalskiego* (studjum) i *Romaka* (obrazek rodzajowy).

— Wspomnienie *O. A. Przecławskiego* o malarzu Orłowskim pomieściło w przekładzie „Echo“ warszawskie.

— *Siemiradzki* maluje Zyg. Augusta z Giżanką.

Do tego Nru dołącza się rysunek humorystyczny Kruszewskiego: Pan Adamski.